

## Dekameron 2020

dr Magdalena Bialic

**JEŚĆ CZY NIE JEŚĆ - OTO JEST PYTANIE.**

**ROZKOSZE PODNIEBIENIA W CZASACH ZARAŻY**

Często chodząc po Galerii Sztuki Dawnej w Muzeum Narodowym patrzyłam ze smakiem na martwą naturę namalowaną przez Carla Maginiego. Czego my tu nie mamy: jest i szynka, pasztet, smakowite bułeczki i precelki, owoce, a do tego zacne trunki i przepiękna, zgrabna porcelanowa waza, która zapewne kryje jakąś przednią zupę. Trudno się nie oblizać na widok tych wszystkich smakołyków. Wszystko to starannie zakomponowane na tle białego obrusu, tylko siadać i jeść. No właśnie, tylko czy jeść czy nie jeść w czasach zarazy? Człowiek jest jakby trochę uwięziony w czterech ścianach, ruchu ma mniej niż zazwyczaj, a lodówka tak miło kusi, że spizarki tak pięknie się uśmiechają i mrugają oczkiem te chipsiki, te cukierasy, te przekłete ciasteczka... Jeść czy nie jeść, pytam się, no i ile? No pewnie, że jeść, tylko z umiarem, a jak jakąś taką dziwną pustkę się poczuje, to zawsze można jeść oczami, patrząc np. na martwe natury maestra Maginiego.

Ja zawsze lubiłam patrzeć na martwe natury „jedzeniowe”, jak sobie je zwałam. Nigdy nie zapomnę genialnej wystawy w Mauritshuis w Hadze w 2017 roku zatytułowanej: „Slow Food”, na której można było podziwiać śniadaniowe i bankietowe holenderskie martwe natury z wieku XVII. Te obrazy śnią mi się do dnia dzisiejszego po nocach. Te holenderskie sery, te ciasteczka, te chleby, bułki, te owoce morza, te warzywa - to nie martwe natury - to portrety Pana Sera, Pana Migdałowe Ciastko, Pani Ostrygi. Zawsze też tak miałam, że jak czytałam jakąś książkę, najczęściej biografię czy autobiografię, czy czyjeś wspomnienia, to co zapamiętywałam najlepiej? Co kto lubił jeść i czy ja też to lubię, i czy np. ja i ten bohater moglibyśmy się

spotkać przy wspólnym stole i razem się tym delectować. I co zapamiętałam? Stanisław Wyspiański lubił jadać głównie na słodko, wprost uwielbiał knedle ze śliwkami, jadł je nawet na zimno, a w kieszeniach miał zawsze cukierki. Ekscentryczny Witkacy zajadał się śliwkami w czekoladzie, nie gardził pierniczkami, a rzodkiewki lubił jeść wraz z zieloną końcówką, a nasz trzeci wieszcz Zygmunt Krasiński lubił makowiec i gruszki. Słynny przedwojenny aktor Eugeniusz Bodo kochał mazurki (czym podbił me serce bez reszty, bo też je Kocham) i robił ich sobie spory zapas, żeby mu starczyło chociaż do Bożego Ciała. Jeden z moich ulubionych królów, Stanisław August Poniatowski zajadał się pieczenią z barana i popijał ją słodkim winem hiszpańskim oraz wodą zdrojową, ale najlepszy był mój Kochany Chopin! O tak, z nim bym sobie zrobiła prawdziwą ucztę Lukullusa. Z rana gorąca czekolada albo mleko, które nasz Fryderyk wprost uwielbiał, mogło być też migdałowe, jakże teraz modne. Później obiadek: bulion i kotlet, a wieczorem prawdziwa uczta: owoce morza (z tego bym zrezygnowała), dziczyzna, zupa czy szparagi, którymi bym nie pogardziła, a wszystko to podlane butelką zacnego Bordeaux.

Wspominam też wiele książek, w których autorzy opisując jedzenie, w ten sposób powracają do lepszych, szczęśliwszych czasów, piszą ku pokrzepieniu i pocieszeniu. I tak np. z genialnej książki Jadwigi Waydel-Dmochowskiej pt. „Dawna Warszawa”, w której autorka opisuje naszą stolicę przed 1914 rokiem i często wspomina warszawskie sklepy, kawiarnie, restauracje, a czyni to w czasach PRL-u, gdzie o rozkosze stołu było trudno, najlepiej zapamiętałam opis pysznych posiłków, które można było spożyć w kawiarni Koła Sportowego w Agricoli np. białą zimną kawę z chlebem razowym z masłem i solą. Przypominam sobie jeszcze „Listy niewysłane” Anny Branickiej-Wolskiej pisane w czasie jej przymusowej zsyłki do Sowieckiej Rosji w latach 1945-47, tam autorka często wspomina dawne

święta, imieniny, polowania i nie szczędzi nam kulinarnych opisów. Ja najlepiej zapamiętałam opis dawnej Wielkanocy w Wilanowie i te mazurki: makaronikowe, orzechowe, kruche z czekoladą, „moczone”, mazurek rymanowski trójkolorowy... Po prostu poezja kulinarna i gotowa martwa natura słowem malowana.

Ale nie zawsze jedzenie kojarzy się z rozkoszą kulinarną, często jego brak jest najgorszym przekleństwem. Nigdy nie zapomnę opisu sowieckiego łagru, do którego zesłano pewnego wybitnego znawcę flory i fauny. Profesor ten codziennie wieczorem, aby podtrzymać współwięźniów na duchu pięknie im opowiadał o tej przyrodzie, dzielnie się trzymał w tym piekle... Do czasu, aż przyszedł głód i biedny profesor rzucał się na najgorsze resztki ryb wyrzucane z kuchni: ogony, wnętrzności itp. i połykał to i wymiotował, i znowu z głodu jadł to co przed chwilą zwymiotował...

Dlatego tak sobie myślę, że jeśli już mnie będą zamykać w tym „drewnianym garniturku”, to przynajmniej o pełnym żołądku i ze zrealizowanymi marzeniami kulinarnymi. Czego życzę wszystkim, również tym wahającym się, czy schrupać tego dziesiątego makaronika, tak uwielbianego przez Marię Antoninę, czy nie. W końcu idąc na stracenie zawsze warto mieć słodkie pocieszenie w kieszeni godne samej królowej, a jak się nie ma chleba, to się je ciastka...